

Grzegorz  
BRUDNIK

# CEREMONIARZ

JEGO PRAWO DO WOLNOŚCI BYŁO WAŻNIEJSZE  
NIŻ ICH PRAWO DO ŻYCIA

FILIA



Grzegorz BRUDNIK

# CEREMONIARZ

FILIA



*Wolność to tylko brak zniewolenia*



# ROZDZIAŁ 1

## Dzień 1

To wszystko nie tak. Nie tak!

Klima szedł wolno, pocierając muskularne, poprzecinane wyraźnie zaznaczonymi żyłami ramiona, którym poświęcał na siłowni naprawdę wiele czasu. Jasne, wyglądał świetnie, ostatecznie kosztowało go to sporo wysiłku. Ale, do cholery, była końcówka lutego i dwa stopnie na minusie. Padał śnieg. Niezbyt gęsty, ale co z tego? Nadal okropnie zimny. Na szczęście cel znajdował się blisko. Klima widział już zielone, drewniane drzwi i stojącego przy nich grubego mężczyznę w białym, sięgającym ziemi futrze. Mężczyzna miał mocny makijaż, zupełnie jak kobieta, i taksował okolicę czujnym spojrzeniem. Ujrzał w końcu zataczającego się przybysza. Nie poznał go zresztą w pierwszej chwili, ale był koneserem. Koniec końców znał to apetyczne ciało. Więc chwilę później uśmiechnął się i powiedział:

– Cukiereczku, to ty?

– Witaj, Justin.

– Tak myślałem, że to ty! Ale nie za zimno, żeby tak bez sweterka?

– Faktycznie, zimno – wystękał przybysz. – Taksiarz wysadził mnie przy szosie. Nie myślałem, że aż tak zmarzną.

- Mój ty biedaku! Chodź, utulę cię i trochę rozgrzeję.
- Nie trzeba. W środku się ogrzeję.
- No chodź...

Rozwarł ramiona, a Klima uśmiechnął się przyjaźnie i to pewnie ten uśmiech będzie śnił się Justinowi przez kolejne dwie godziny.

Bzzzt.

Taser w rękę Klimy zaśpiewał coś smutnego o swoim fatum. O tym, że spłodził go strach, a urodziła nienawiść. Ciało grubasa zesztyniało nagle, ale Klima nie pozwolił mu runąć na ziemię. Złapał nieprzytomnego wpół i po cichu ułożył na betonowej podłodze. Potem podszedł do drewnianych drzwi i popchnął je lekko. Nic się nie wydarzyło.

– Selekcjoner wyeliminowany – rzucił szybko do mikrofonu ukrytego pod T-shirtem. – Nie ma ochrony. Wchodzimy.

AMZ Tur VI wyjechał zza sąsiedniego budynku i wcisnął się w wąską uliczkę prowadzącą wprost pod obiekt. Zatrzymał się tuż obok Klimy. Odsunęły się boczne drzwi i ośmiu ubranych na czarno mężczyzn jeden po drugim opuściło pojazd. Ostatni niósł ze sobą pakunek, który podał Klimie.

– Piętnaście sekund – powiedział.

– Tak jest – rzucił Klima, bo mężczyzna, z którym rozmawiał, był jego dowódcą.

To wszystko nie tak. Nie tak!

Starszy aspirant Przemysław Klimczak był na pierwszej realizacji ze swoim nowym zespołem i nie mógł przypuszczać,



jak ważną przyjdzie mu odegrać rolę w tym bałaganie. Od dawna starał się o przyjęcie do katowickiego Samodzielnego Pododdziału Kontrterrorystycznego Policji. To było jego marzenie od dziecka. A teraz w pośpiechu zakładał podaną przez dowódcę kevlarową kamizelkę wprost na T-shirt, bo nie miał czasu ubierać się w kompletny strój taktyczny. Ściągnął paski. Potem nałożył hełm i gogle.

– Żadnych noktowizorów – powiedział cicho, a dowódca przekazał innym jego sugestię. Na koniec Klima sprawdził jeszcze, czy jego karabinek automatyczny Haenel MK 556 jest gotów do działania i dołączył do pozostałych, skupionych wokół dowódcy.

– Trzech za mną, lewą nawą – instruiował podkomisarz Czesław Wach. – Czterech za Klimą, prawą nawą. Najdyskretniej jak się da. Na końcu są schody w poprzek ściany, od prawej do...

– Od lewej – poprawił krótko Klimczak.

– Więc od lewej do prawej. Wchodzimy na piętro jeden po drugim, ja pierwszy. Nie strzelać bez rozkazu. Jasne?

Potwierdzili.

To wszystko nie tak. Nie tak!

Planowanie i działania taktyczne, to pociągało Klimę w tej robocie najbardziej. I tak też miało być tego wieczoru. Operacyjni rozpracowywali tych ludzi od kilku miesięcy. Miało dojść do zakupu, a potem oni mieli zdjąć i kupujących, i sprzedających. Na zewnątrz. Wszystko było zaplanowane. Każdy wiedział, co ma robić. Był przygotowany. Wielokrotnie odbył już tę misję w głowie. Wystarczyło zrobić to, co

ustalono. Nie było konieczności wchodzenia do tego przekłętego lokalu.

Wszystko przepadło, gdy uaktywnił się alarm bezruchu funkcjonariusza wewnątrz. Oczywiście, że w takiej operacji musiał uczestniczyć przykrywkowiec. Oczywiście, że był zabezpieczony. Oczywiście, że w dniu akcji nie miał ze sobą mikrofonu. To było zbyt ryzykowne. Ale posiadał niewielkie, niepozorne urządzenie, które wysyłało wezwanie o pomoc, gdy policjant przestawał się ruszać.

– Pamiętajcie! Najważniejsze to wyprowadzić naszego człowieka! – krzyknął Wach, bo operatorzy utworzyli już szyk bojowy i byli gotowi, by wejść do budynku.

Czy byli gotowi? Klima szczerze w to wątpił.

Przekłeta Zgorzel, migrujący klub. Miejsce, gdzie można było dostać i stracić wszystko. Rozrywka dla wybrańców, zwykle bardzo bogatych, choć niekiedy lokal otwierał swe bramy nawet dla takich jak Klima. To dlatego szedł teraz w pierwszym szeregu. Znał to miejsce. Był w nim dwukrotnie. Pierwszy raz wspominał jako magiczny. Drugi – wprost przeciwnie. Klima był, jak to się mówi, swobodny seksualnie. Gustował w kobietach, ale i mężczyzn do siebie dopuszczał. Wiedział o tym każdy, kto go znał. Dowódca i koledzy również. Nikomu to nie przeszkadzało, bo Klima w pracy był dla pracy, a to wzbudzało szacunek. Nie rozmawiano na osobiste tematy. Nikogo to nie obchodziło.

Po niespełna rocznym okupowaniu słynnego Brutala stojącego niemal w sercu Katowic, Zgorzel wyniosła się w końcu, ku uciesze okolicznych mieszkańców, nie tak zresztą

licznych, ale za to głośnych. A Zgorzel lubiła ciszę. Dlatego wciąż przenosiła się z miejsca na miejsce. Tym razem przerwa trwała trzy miesiące, które były niezbędne na urządzenie się w nowym miejscu. A potem najważniejsi bywalcy otrzymali wiadomość tekstową z nieznanego numeru. Był w niej tylko adres. Właśnie tu, w Bytomiu, przy ulicy Brzezińskiej 27. W budynku dawnych Warsztatów Naprawczych Górnośląskich Kolei Wąskotorowych. W starej, zniszczonej hali, w której wciąż jeszcze stały nigdy niewyremontowane wagony i lokomotywy.

– Wchodzimy – rzucił Wach do interkomu i operatorzy jeden po drugim pozwolili się pochłonąć przez mrok.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, natychmiast zrozumieli, dlaczego Klima kazał im pochować noktowizory. Jakby trafili w sam środek burzy. Różnokolorowe wiązki lasera uderzały na oślepi, to wydobywając z mroku, to znów ukrywając w nim ciała istot o ludzkich kształtach, lecz z pewnością pozbawionych ludzkiej świadomości. Wszechobecne stroboskopy spowalniały czas, ale tylko pozornie, tylko wycinając z percepcji pojedyncze momenty, cenzurując odczucia i obawy, a jednocześnie wzmagając je do granic dawno przekraczających pojmowanie rozumem.

Klima sunął do przodu jak duch z lufą karabinu skierowaną przed siebie. Nie mógł mieć nawet pewności, czy pozostali idą za nim, ale wiedział, że tam są. Na tym polegała ta służba. Co raz ustalono, staje się nieodwołalne. Miał przed sobą wąski ciąg komunikacyjny po obu stronach znaczony fluorescencyjnymi wypustkami. Po prawej stronie musiał

się znajdować jeden z wielu w tym miejscu parkietów do tańczenia, bo kątem oka ujrzał skłębioną, skompresowaną ludzką masę wirującą wspólnie jak zassany z całej galaktyki kosmiczny pył wokół wciąż rozrastającej się czarnej dziury. Jedni zupełnie nadzy, inni odziani w iluzję skrywającą to, co należało eksponować i eksponującą to, co należało ukryć, jeszcze inni ubrani jedynie we fluorescencyjną farbę, w oczach postronnego obserwatora zmieniającą ich w jakiś świetlny konstrukt o ludzkich kształtach, lecz bez ludzkich proporcji. Wszyscy oni dawno pozostawili za sobą horyzont zdarzeń i nie było już dla nich innej drogi, jak brnąć w kierunku osobliwości. Do miejsca, gdzie gęstość materii jest nieskończona.

Naraz wyrósł przed nim człowiek, który był tak samo upiorny jak wszystko inne w tym miejscu. Musiał być stary, a świadczyła o tym lekko przygarbiona sylwetka i niepewne, spowolnione ruchy. A może to ten stroboskop? W błyskach światła Klima ujrzał pomalowaną na czerwono twarz mężczyzny i jego wściekle czerwony garnitur. Mężczyzna szczyrzył się do niego i coś próbował powiedzieć, ale dudniąca, niepokojąca muzyka z pogranicza trance'u i jakiegoś horrorowego ambientu zmonopolizowała wszystkie słyszalne częstotliwości, od dwudziestu herców do dwudziestu kiloherców, i przestrzeń nie była już w stanie przenosić drgań.

Klima skupiony był na zadaniu. Nawet nie zwolnił. Lewą ręką odsunął mężczyznę tak, by nie zastawiał drogi. Spojrzał w lewo i w oddali, za rozmytymi sylwetkami oscylującymi

na rozfalowanym parkiecie ujrzał drugi szereg operatorów. A więc wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Dotarli do strefy nazywanej przez stałych bywalców bocznica. Tu, na przyspawanych do podłogi bardziej nawet przez czas niż łuk elektryczny szynach, dokonywało życia pięć rumuńskich wagonów wąskotorowych FAUR z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Klimę zdziwiło, że nie dostrzegł żadnych ochroniarzy, bo choć ci w Zgorzeli zawsze byli tak bardzo niewidzialni, jak to tylko możliwe, akurat w rejonie bocznicy zawsze kręciło się co najmniej dwóch. Bo bocznica była strefą dla wybranych. Wagony wybebeszono i urządzono w nich VIP roomy. Klima nigdy w żadnym nie był. Zgorzel, owszem, otwierała się czasem przed takimi jak on, ludźmi bez pieniędzy i prestiżu, ale przecież nie dopuszczała ich do wszystkich swoich tajemnic. Musiał się więc zadowolić tym samym, co inni podobni do niego. Opowieściami. A o bocznicy krążyło ich bardzo dużo.

Chodnik wiódł teraz tak, że musieli zrobić ślalom między wagonami. Światło z latarek zintegrowanych z ich karabinami roztańczyło się, gdy jeden po drugim wili się jak krótki wprawdzie, ale wyjątkowo śmiercionośny wąż. Dudnienie narastało. Prawdopodobnie gdzieś w mroku ponad nimi ukryto jeden z kilkuset głośników rozsianych po całym klubie. A może to serce Klimy tak waliło? Odczuwał dziwny niepokój. Czy strach? Nie, chyba nie. W swojej policyjnej karierze robił już gorsze rzeczy i to w pojedynkę, bez oddechu tych kilku chłopaków na plecach, tych najlepszych z najlepszych, którzy, nie miał co do tego wątpliwości, nie

pozwolą mu zginąć na pierwszej misji. A jednak coś było nie tak. Po prostu to czuł.

Tymczasem minęli ostatni FAUR i kilkanaście metrów dalej ujrzeli ścianę przegradzającą im drogę. W ścianie wykuto tylko jedno przejście, prowadzące do drugiej części hali. To było pierwsze z dwóch wąskich gardeł. Zawsze stał tam ktoś z obsługi. Szybkie spojrzenie w bok uspokoiło Klimę, bo drugi zespół też już tu był i teraz na moment połączyli się w jeden szereg.

Przejście było puste. Nikt tam nie stał. Kolejny widomy znak, że sytuacja nie jest normalna. Najpierw brak ochroniarzy przy drzwiach, potem na bocznicach, a teraz to. Oczywiście, właśnie zdemaskowali policjanta i Bóg jeden w niebiosach wie, co mu teraz robią, to jednak nie było wystarczającym powodem, by ściągnąć tam całą ekipę i zostawić klub bez opieki. Zwłaszcza ten klub.

Druga część hali nie była aż tak ogromna, ale to właśnie tu Zgorzel ropiała najbardziej. To tutaj ludzkie bakterie migrowały od komórki do komórki, rozpalając ognisko martwicy w tkankach jakiegokolwiek pozostałej jeszcze przy życiu moralności. Klima był raczej religijnym człowiekiem. Wierzący niepraktykujący. Tak o sobie mówił, gdy go pytano. Siłą rzeczy nie uważał się również za przesadnie pruderyjnego. Ale to, czego doświadczył tutaj podczas ostatniej wizyty, o, proszę państwa, to było za dużo nawet dla niego. Zgorzel nie jest dla wszystkich. Nie jest nawet dla wielu z tych, którzy na co dzień uchodzą za zepsutych, zdemoralizowanych, o zginiętym sumieniu i spleśniałym człowieczeństwie.

Tu, w drugiej części klubu, było trochę jak w upiornej Ikei. Sofy, fotele, stoliki i podwyższenia, kilka stanowisk barowych w kształcie okręgu, aby można było do nich podejść z każdej strony. Strefy wypoczynku, strefy striptizu i strefy do uprawiania seksu, których było tu najwięcej. W Zgorzeli każdy mógł dostać to, o czym marzył, a nawet to, o czym zawsze pomarzyć się wstydził. Musiał tylko poprosić.

I ludzie. Wszędzie ludzie. Koniec z bezpiecznym, komfortowym przemieszczaniem się pustym ciągiem komunikacyjnym.

– Szybciej, Klima, szybciej! – Usłyszał w słuchawkach wołanie dowódcy.

Ale jak tu iść szybciej, skoro lufą odbezpieczonego karabinu trzeba roztrącać na bok upiory, istoty lewitujące nad parkietem, oszołomione dymem, światłem i muzyką, a najbardziej szklaneczkami pełnymi cieczy o kolorach, które natura przybiera wyłącznie, gdy staje się skrajnie toksyczna.

*Skup się!* – krzyknął do siebie w myślach i naparł mocniej. Nikt w tym przeklętym klubie nie zwracał uwagi na dziewiciu uzbrojonych po zęby mężczyzn lawirujących między bywalcami, choć któryś z nich co chwilę kogoś uderzał, kogoś odpychał, kogoś rzucał na ziemię.

W końcu jednak przebili się przez epicentrum tego szaleństwa i ujrzeni przed sobą ścianę. W jej poprzek biegły metalowe schody prowadzące pozornie donikąd. Pozornie, bo w tej ciemności nie mogli dostrzec ulokowanych na końcu kładki drzwi. Ot, drzwi w ścianie, na wysokości pięciu metrów. Klima wiedział, że prowadzą do części biurowej

klubu. Dotarli do drugiego wąskiego gardła. Dużo bardziej niebezpiecznego niż to pierwsze. Ale i tu nie było ochrony. Ostateczne świadectwo ekstremalnie kryzysowej sytuacji. Bo w tym miejscu zawsze stało dwóch wielkich facetów. Zawsze.

– Po dwóch – zakomenderował Wach. – Ja i Klima, potem kolejni.

I ruszył po stopniach do góry, a Klima za nim.

– Wyrównaj – warknął dowódca.

Nawet w tym nieopisanym hałasie słyszeli stukanie swoich obcasów po metalowej kratownicy, z której zespawano stopnie. Ci w biurze też musieli to słyszeć, ale ani Klima, ani Wach, ani nikt w całym zespole nie myślał teraz o tym. Bo gdy tylko osiągnęli połowę wysokości, usłyszeli coś jeszcze. Przerażliwy, nieustający krzyk. Taki, którego żaden z nich nigdy nie zapomni. Wzmacniany przez przetaczającą się nad parkietem w krótszym niż bicie serca interwale eksplozję basu.

– Stawaj po prawej – rzucił Wach zupełnie bez sensu, bo Klima dobrze wiedział, co ma robić. Zajął swoje miejsce przy drzwiach. – Ja wykopuję – dodał jeszcze dowódca i... Do cholery, czy naprawdę dało się słyszeć w jego głosie panikę? Wach był najtwardszym z twardych. Legendą oddziału. Z doświadczeniem w takich misjach, o jakich Klimie się nawet nie śniło. A jednak, najwyraźniej się bał. Dobrze. Bardzo dobrze. Należy się bać. Tylko szaleńcy się nie boją. Tak mu wbijano do głowy na szkoleniach. Dobrze wiedzieć, że dowódca nie jest szaleńcem.

I naraz wszystko zwolniło, jakby historię ich życia opowiadał film nakręcony w stu dwudziestu klatkach na sekundę



i jakiś wrażliwy na sztukę montażysta spowolnił go czterokrotnie. To ten moment na oddech. Uspokojenie serca. Ustabilizowanie drżących rąk. Chwila trwająca mniej niż sekundę, ale jedna z tych, które na zawsze zapadają w pamięć.

A potem Wach pokazał mu trzy palce, dwa palce, jeden palec i rzucił się na drzwi z wyciągniętą nogą. Nie były mocne. Odskoczyły od framugi jak pocisk i we dwóch, nowy chłopak w oddziale i jego legendarny dowódca, wkroczyli w nieznaną.

– Policja!!! Policja!!! Gleba, kurwa!!! – wrzeszczeli jeden przez drugiego, a potem komunikat wzmocnili kolejni operatorzy wpadający do pomieszczenia.

Było tu zupełnie ciemno. Nie paliło się światło, nie było żadnych okien. Widzieli więc tylko to, co pojawiała się w punkcikach światła rzucanych przez ich latarki. Zakrwawionego trupa na podłodze.

– Policja!!! Policja!!!

Wrzask gdzieś ze środka pomieszczenia. Dwa trupy pod ścianą. Mnóstwo krwi. Gęstej i lepkiej. Niewątpliwie wytoczonej ledwie chwilę temu.

– Policja! Gleba!

Znów wrzask. Trup na rozbitym szklanym stole, stół zdawał się być czerwony, ale nie był.

– Kurwa! Kurwa, dowódco!

Narastający, dławiący się wrzask. Dwa trupy pod przeciwległą ścianą. Jeden z odciętą ręką.

– Dowódco! Oni wszyscy...

– Policja!!!

Wrzask przechodzący w skowyt i tam dalej, w rogu, następny trup. Z jego gardła wystawał nóż. I jeszcze jeden w szklanej śluzie prowadzącej gdzieś dalej, poza biuro. Ten oznaczył krwią ostatnią drogę, którą podążał w życiu. Najwyraźniej przecięto mu tętnice, a on w rozpaczy usiłował gdzieś uciec. Być może drzwi się zablokowały, a może to jemu zabrakło już siły. Upadł tam i zamienił śluzę w wypełnione krwią akwarium.

Wrzask.

I w końcu ktoś go wyłuskał z ciemności. Człowieka siedzącego na krześle. Twarz miał zasłoniętą jakąś szmatą, a ręce przypięte plastikowymi opaskami do oparcia. Wrzeszczał wprawdzie, ale jakoś tak głucho, jakoś tak niewyraźnie. Musiał być zakneblowany. Wach doskoczył do niego i oparł mu rękę na ramieniu, a mężczyzna szarpnął się na krześle.

– Czysto! – Usłyszał jeszcze meldunek, zanim krzyknął:

– Spokojnie! Spokojnie, Cyra. To swoi! Swoi, rozumiesz? Policja. Wach. Poznajesz mnie? Rozumiesz, co mówię?

Mężczyzna nie rozumiał. Na pewno nie rozumiał. Bo wciąż się szarpał, dygotał i wrzeszczał.

– Nóż! – wrzasnął Wach i Klima podał mu ostrze, zupełnie się nie zastanawiając, dlaczego dowódca nie ma swojego. Wach w tym czasie ściągnął więźniowi z twarzy szmatę i powąchał ją.

– Skurwysyny! – krzyknął. – Benzyna. Chcieli go tu spać żywcem.

– Czesiek, sprawcy zdążyli uciec – powiedział nerwowym głosem jeden z operatorów. – Możliwe, że są po drugiej stronie śluzu.

– Niemożliwe – dopowiedział ktoś inny. – Śluza zablokowana. Ten truposz raczej uciekał przed napastnikami, a nie biegł za nimi.

– Dykta – wystękał Cyra, któremu Wach wyjął właśnie knebel z ust. – To dykta.

Po czym, gdy tylko dowódca rozciął krępujące go opaski, upadł na kolana i zwymiotował.

– Już dobrze, Cyra. – Wach poklepał go po plecach w tym samym momencie, gdy rozhuczały się buty operatorów przebijających ścianę z dykty.

– Oni wiedzie... Wiedzieli – wydukał Cyra. – Mamy... Muszę... Muszę stąd wyjść. Muszę zaczerpnąć...

Podniósł się, odpychając na bok zaskoczonych Wachów i skoczył w kierunku drzwi.

– Nikogo żywego – zaraportował ktoś, kto najwyraźniej rzucił już okiem na to, co znajdowało się za śluzą. Wach nie poznał go po głosie, poczuł zmęczenie. Ogromne zmęczenie. Chwilowo nie miał siły spoglądać na mówiącego. – Ale ten klub to my chyba zamkniemy, dowódco. Więcej tu prochów niż na jachcie u Escobara.

– Tu jest cała wierchuszka Blaue Horde – zauważył ktoś inny. – Ten w służbie to Hutnik. Nowy przywódca.

– Nowy były przywódca – rzucił Wach. Ten i ów się roześmiał. Wypada się śmiać z żartów dowódcy.

Tymczasem Cyra wypadł na zewnątrz i tu prawie skończyło się jego parszywe życie. Stracił czujność, zapomniał, gdzie jest. Z impetem wpadł na niewysoką balustradę, oparł się o nią i byłby przeleciał, gdyby nie złapał go jeden z policjantów.


## ZWIĘCZENIE SERII, KTÓRA SZTURMEM ZDOBYŁA SERCA POLSKICH CZYTELNIKÓW

Zimą szarzeją ulice i szarzeją serca przemierzających je ludzi. Komisarz Rafał Lichy snuje się po konurbacji, usiłując ustalić związek pomiędzy działaniami Ceremoniarza – seryjnego zabójcy grasującego na Śląsku, a sprawą tajemniczego zniknięcia dwóch nastoletnich siostr sprzed szesnastu lat. By tego dokonać, musi skorzystać z pomocy swojego największego wroga. Ale komisarz Piotr Cyra ma własne plany, które pokrzyżować może tylko śmierć.

Spektakularne zwińczenie serii o komisarzu Lichym. Szaleńcza rozgrywka, wulkan emocji i zakończenie wysysające z czytelników ostatnie pokłady empatii. Potem nie zostanie już nic.

mrocznastrona.pl  
wydawnictwofilii.pl



 **lubimyczytać**

**FILIA** MRO CZNA  
STRONA

cena 49,90 zł

ISBN 978-83-8402-009-8



9 788384 020098